

— „Znacie? No to posłuchajcie!” — to tradycyjne powiedzenie Pana Jowialskiego z komedii Fredry można z powodzeniem odnieść do nowej inscenizacji na wpół udratyzowanego tekstu „Pana Tadeusza”, pokazanej na scenie teatralnej POSK-u przez piątkę wybitnych i popularnych aktorów z kraju. Bo przecież znamy tekst na pamięć, lub przynajmniej tak się nam zdaje, skoro z pamięci możemy przypomnieć obie słynne inwokacje „Litwo, ojczyzno moja...” i „O roku ów!”, czy opis wielkopańskich manier Podkomorzego.

Odświeżono tę zbiorową pamięć niedawnym wystawieniem w „Ognisku” przekształcenia Mickiewiczowskiego poematu w „teatr słowa” przez D. Bargielowskiego, o co postarała się w imieniu ZASP-u p. Irena Delmar. Można niemal powiedzieć że Jacek Soplica, w doskonałej interpretacji Kumora z łódzkiego zespołu, deptał niemal po piętach Jackowi w wykonaniu M. Benoit z przedstawienia w Teatrze Wybrzeże w Gdańsku, które przedziutko w cztery dni po krajowej premierze zjawilo się w Londynie, na zaproszenie U.

„Pan Tadeusz” na scenie POSK-u

Świąteczkiej, naszego emigracyjnego ministra kultury w zakresie spraw teatralnych. Gdyby za panią Świąteczką stała jakaś tradycyjna partia polityczna, mógłby ten kobiecy, jasnowłosy demon energii, noszący na premierze czerwoną suknię, jak Telimena na scenie, chyba zasiadać w rządzie...

A swoją drogą występ gdański, następujący tak szybko po występie łódzkim, jest przykładem wręcz idealnego braku porozumienia i kontaktu. Każdy sobie rzepkę skrobie. Wprawdzie przy POSK-u istnieje specjalna komisja porozumiewawcza użytkowników sali teatralnej, która do pewnego stopnia czuwa nad repertuarem, ale ta kontrola ogranicza się wyłącznie do POSK-u, teatr w „Ognisku” działa niezależnie i stąd tego rodzaju zderzenia repertuarowe. Warto by coś w tej sprawie zrobić!

Nie ma jednak złego, co by na dobre nie wyszło. Publiczność naszego polskiego miasteczka w wielkim Londynie nie wytrzymała nastęstwa akademii na rocznicę wybuchu wojny, na rocznicę odzyskania Niepodległości, wieczoru poświęconego Monte Cassino, 50 rocznicy PUNO, sztuki o gen. Okulickim, i w końcu „głosuje nogami” przeciw temu nadmiarowi patriotyzmu na polskich scenach. Ale, jak się okazało, ci sami widzowie zachowują się zupełnie inaczej, gdy idzie o prawdziwy, dobry teatr; pięć kolejnych przedstawień nowych, wybranych epizodów z „Pana Tadeusza” było teraz wyprzedane do ostatniego miejsca.

Bargielowski w „Ognisku” ograniczył się do słowa i wyrazistego gestu. W pokazie gdańskiego teatru mieliśmy kostium, dekoracje, sytuacje teatralne i dialogi. Słowo przypominało tekst, tkwiący gdzieś tam w zakamarkach pamięci; zjawienie się postaci scenicznej w stroju przepasanym słuckim pasem pobudzało wyobraźnię, po czym Mickiewiczowskie rymy prowadziły ją dalej. Hrabia (Englert) i młody Tadeusz (Kolberger) byli prawdopodobni; w znacznym stopniu zgadzali się z tą prywatną wizją wewnętrzną, jaką posiada każdy czytelnik uznanego arcydzieła literatury, gdy idzie o jego głównych bohaterów. I to pomimo, że miałbym zastrzeżenia co do stroju Tadeusza, choć ten „młody panek” przyjeżdżał ze stolicy, z Warszawy. Najbliższa prawdy była chyba Zosia (K. Figura), mimo że najmniej miała mówionego tekstu. A może właśnie dlatego! Jej typowo polska uroda, jej świeża mło-

Zdzisław Broncell
dość, uprawdopodobniały ową soplicowską nimfę, która — jak się wkrótce Hrabia przekonał — „*gesi pasie*”...

Telimena (A. Dymna) może zaskakiwała swą urodą i temperamentalnie erotycznym, ale w owych czasach, gdy było wiele dzieci i gdy rodzili się one w znacznych nieraz odstępach czasu, ciocie często bywały młode. Sam przecież miałem młodzieńką ukraińską ciocię, którą wujek przywiózł sobie na kawalerskim koniu z wyprawy kijowskiej...

I może tylko Benoit w swych 8 naraz rolach nie utożsamiał się tak łatwo z dobrze znanymi nam postaciami, kiedy, ubrany w brunatną czamare, musiał tylko zmieniać czapy, kaptura, przewiązaniem pasa, zaznaczać przywdziewaną na się nową osobowość.

Bargielowski szukał w „Panu Tadeuszu” romantycznego dramatu w stylu Waltera Scotta, nie podkreślał motywów patriotycznych, nie doprowadził akcji do uwolnienia Litwy spod władzy Rosjan, które to świadome ograniczenia przyczyniły się zresztą do zwartej, emocjonującej inscenizacji. Englert zwrócił się do dziejów Litwy, i tych w wielkim stylu, i tych niepozornych, zawierających się w codziennym życiu. Zaczął więc od przyjazdu Tadeusza do dworu, który „*był szlachecki, z drzewa, lecz podmurowany*” — i tu zabrakło nam kurantu, jaki stary zegar Tadeusza powitał — a zakończył „*Rokiem 1812*” i polonem zgody narodowej. Po drodze wybierał to, co dawało smak codziennego istnienia i co kryło w sobie mniej szeroko znane, czy raczej — pamiątane, piękności poematu.

Dobrze i słusznie, bo tym odświeżał tę wielką poezję, równie wspaniale błyszczącą w patriotycznej inwokacji do roku 1812, jak i w opisach uczt, bigosu, ogródka Zosi, litewskiego matczynika, sporów o charty i wiejskich amorów. Właśnie dziś gdy Litwa, tak bardzo związana z polskością, na nowo budzi się do życia, i upomina o swoje prawa, ten litewski epos jest tym bardziej na czasie. Byli zresztą na sali Litwini, którzy, niezależnie od sporów o Wilno, ocierali łzę z oka, gdy słuchali z polskiej sceny słów największego litewskiego i polskiego poety.

Momenty historyczne odchodziły na plan dalszy. Też dobrze i słusznie, gdyż legenda napoleońska i legenda „polskiej wojny” daleko odbiegają od prawdy. Na-

oleon chciał z Aleksandrem porozumienia, a nie wojny. Gotował się do ataku, ale w listach do cara zapewniał, że nigdy Polski nie wskrzesi. Nazywał tę wojnę „polską” a przecież jego sojusznikiem w tejże wojnie była Austria, nie rezygnująca wcale ze swego zaboru Galicji. Z drugiej strony nie wszyscy Polacy i Litwini spieszyli się do unii z Księstwem Warszawskim, zwłaszcza większa własność ziemska i magnateria obawiała się i reform społecznych Księstwa, i Kodeksu Napoleońskiego, i zmienionej sytuacji chłopów, i ciągłych poborów do wojska, którego najlepsze oddziały szły do Hiszpanii, i olbrzymich podatków wymaganych przez Napoleona-wyzyskiwacza. Pod zaborem rosyjskim Aleksandra działo się im wtedy wcale nienajgorzej, raczej nawet lepiej materialnie — pozostały na wsiach nawet polskie urzędy, a w miastach polskie uczelnie.

W „Panu Tadeuszu” wiele narracji, wiele monologów, a z dialogiem skąpo. Rozwiązano tę trudność, bardzo zżęcznie wkładając opis w usta postaci mówiących same o sobie. Kiedy zaś np. Hrabia podejmuje narrację, opisując spotkanie w ogródku Zosi, Zosia — przy akompaniowaniu jego słów — przebiega w negliżu przez scenę. Tak oto sceniczne wydarzenia łączą się ze słowem i ta metoda zawodzi tylko tam, gdzie trzeba by więcej aktorów, i

gdy skromna, acz wymowna, piątka nie może już stworzyć dostatecznego złudzenia, jak np. w końcowym epizodzie poloneza. Mogłaby tu wiele pomóc muzyka, ale Englert nie sięgnął np. do nieco późniejszych polonezów Marii Szymanowskiej i wybrał ilustrację muzyczną cichą i dyskretną. Stosował też obie inwokacje i można by się spierać o trafność niektórych akcentów, o zbyt cichą dykcję w niektórych rolach, o pewną szarżę którą Benoit lubił ratować się z trudności wprowadzenia rozróżnień między aż ośmiu odwarzanymi rolami.

Było to jednak w sumie widowisko kulturalne, wzruszające — smaczna robota teatralna, podana na tle doskonale pomyślanej oprawy scenicznej Tatiany Kwiatkowskiej. Kto wiektórych rolach, i Bargielowskiego, i Englerta, zapewne przyną, że wieczór w POSK-u był efektywniejszy (dekoracja, kostiumy!), a wieczór w „Ognisku” głębszy i bardziej dramatyczny. Za oba te wieczory obu organizatorom należy się podziękowanie. Vivat wszystkie stany, vivat obie panie!